

## *Na targu w Golubiu*

– Jaki piękny dzień! Jakie piękne życie! – przeciągnął się rozbudzony już Frycek. – To był świetny pomysł Domusia, żeby spędzić z nim wakacje w jego domu rodzinnym w Szafarni. Sierpniowe upały w Warszawie są nie do wytrzymania. Biedna mama i papa, że muszą to znosić. Ale ja nie będę życia marnował w łóżku! Wstaję!

Jak pomyślał, tak zrobił. Wstał, ubrał się i jak wiatr wybiegł z domu. Udał się prosto do parku. Śpiewały ptaki, słyszał kojący szum drzew, powiewał lekki sierpniowy wiatr, a słońce wstawało ponad dachami dworu. Z oddali słychać było dźwięk dzwonów z kościoła z Płonego. Spacerował wokół stawu, który znajdował się obok dworku Juliusza Dziewanowskiego – taty Dominika, szkolnego kolegi Frycka, zwanego pieszczotliwie przez domowników Domusiem. Po stawie pływały kaczki, które Frycek postanowił nakarmić chlebem. Pobiegł do dworu i zakradł się do kuchni. Wiedział, że w jednej z szafek zawsze znajduje się wysuszony chleb. Wziął go i niezauważony przez nikogo, pobiegł nad staw. Było to fascynujące zajęcie. Kaczki przyplływały do niego coraz bliżej i bliżej. Chciał je dotknąć, lecz niestety podszedł zbyt blisko, stracił równowagę i wpadł do wody. Przestraszył się bardzo. Krzyczał, lecz nikogo nie było w pobliżu. Staw nie był może głęboki, jednak panika spowodowała, że Fryckowi zaczęło brakować już tchu, osłabł bardzo, już nie krzyczał, ale cichutko wołał o pomoc. Nagle nie wiadomo skąd, pojawił się pewien mężczyzna. Wszedł do wody i wyniósł na rękach ledwo żywego Fryderyka. Okrył go swoim surdudem i zaniósł do dworu. Domownicy jeszcze spali. Służba tylko krzątała się po kuchni, przygotowując śniadanie. Gdy zauważyli, co przytrafiło się paniczowi, kucharka Marianna skoczyła do niego. Zaraz położono go z powrotem do łóżka, a Marianna nagotowała cały dzbanek kawy żołądziejowej, którym poiła dziecko. A mężczyzna? Zniknął tak samo niespodziewanie, jak się pojawił. Nikt nawet nie zauważył, kto to był i w którą stronę odszedł. Fryderyk był niepokojony, bo nawet nie zdążył mu podziękować za uratowanie życia.

Wyczerpany przeżyciami poranka Frycek zasnął i obudził się nazajutrz. Ze zdziwieniem spostrzegł, że po wczorajszej przygodzie nie został nawet ślad. Nie miał kataru, nic go nie bolało. Czuł się wyśmienicie.

– To pewnie zasługa kawy żołądziejowej, którą napoiła mnie Marianna – pomyślał Frycek, udając się na śniadanie do jadalni.

A w jadalni panował już niecodzienny harmider. Szczególnie podniosła się wrzawa, gdy zobaczyli zdrowego i zadowolonego Fryderyka. Wyrazili zadowolenie, że nic mu się nie stało.

Przy stole zebrali się wszyscy domownicy: pan Juliusz Dziewanowski, właściciel majątku Płonko i Szafarnia, jego druga żona pani Honorata Borzewska, siostra pana Juliusza – panna Ludwika, i – co było bardzo dziwne – przy stole siedział już Dominik, uznawany we dworze za największego śpiocha.

- A cóż to się stało, drogi druhu, że ty już na nogach o tak wczesnej porze? – zdziwił się Fryderyk.

- Pewnie zapomniałeś, mój drogi, co to dzisiaj za dzień! To pewnie wczorajsza przygoda i bliski kontakt z wodą, spowodował u ciebie objawy amnezji. Przecież dzisiaj jedziemy do Golubia na targ. Papa ma dużo spraw do załatwienia, dlatego będziemy mieli dużo czasu, żeby pozwiedzać to miasto. Zobaczysz, jakim pięknym miasteczkiem malowniczo położonym w zakolu rzeki Drwęcy jest Golub! – zachęcał Dominik.

Ale Frycka nie trzeba było do wojaży zachęcać. Piękna pogoda zapowiadała udaną wyprawę. Dlatego całe towarzystwo szafarskie nie zwlekało, tylko zaprzęgano konie i dwoma powozami ruszono w podróż.

Pan Dziewanowski jako dziedzic, mający spraw do załatwienia bez liku, mógł swobodnie granice na moście na Drwęcy (rzeki oddzielającej dwa zaborcy) w Golubiu pokonywać, bo jego ziemie w zaborze rosyjskim leżały, zaś Golub to miasteczko położone na pograniczu zaboru pruskiego. Właściciele majątków położonych w pasie przygranicznym mieli ułatwioną możliwość częstego przekraczania granicy rosyjsko-pruskiej, z pominięciem dodatkowych utrudnień. I z tego korzystali nader chętnie, bo w Golubiu odbywały się bardzo sławne jarmarki.

Panie poszły po sprawunki, chłopcom zaś dano wolną rękę. Golub nie był miastem zbyt dużym, dlatego postanowili pozwiedzać go na pieszo. Udali się najpierw do gotyckiej świątyni z przełomu XIII i XIV wieku znajdującej się tuż przy rynku. Tu zachwycił ich ołtarz główny z obrazem św. Katarzyny Aleksandryjskiej. Później wspięli się na wysoką wieżę, by z góry podziwiać panoramę miasta i zakola rzeki Drwęcy oraz obejrzeć ogromny dzwon ufundowany przez króla Zygmunta II.

Z daleka ujrzeli wzgórze zamkowe z ruinami zamku z XIV wieku, zniszczonego podczas potopu szwedzkiego i kolejnych wojen. Wdrapali się tam, a tu trwały akurat prace remontowe. Na rusztowaniach, jak w ukropie, uwijali się murarze, poganiani przez niezbyt grzecznego majstra nadzorującego robotników. Krzyczał na nich, groził im pięścią, poganiał po niemiecku. Chopin, niewiele myśląc, wykazał się dużym poczuciem humoru. Wdrapał się na kamień i gdy tylko majster się odwrócił, zaczął najkomiczniej łamaną z niemiecka polszczyzną, udawać pokrzykującego majstra. Ukryty za nim Dominik, wsunąwszy ręce

w rękawy ubrania Fryderyka, zaczął żywo gestykulować, przedrzeźniając majstra, czym obecnych robotników tak rozśmieszyli, że wszyscy się od śmiechu pokładali. Gdy majster się odwrócił, chłopcy umknęli na rynek, bo bali się odwetu i kary za swój niezbyt chlubny wyczyn.

Zmęczeni szaleńczym biegiem ze wzgórza zamkowego, udali się na targ. Ruch był ogromny, ciżba cisnęła się zewsząd. Golub to miasto przygraniczne, dlatego zjeżdżali się tu z całej okolicy i targi te, znane nawet w Toruniu i Brodnicy, stanowiły dla okolicznych chłopów i ziemian, znakomitą możliwość kupna koni, wołów i krów. Kwitł handel płodami, nierogacizną, bydłem oraz wytworami stolarzy, bednarzy, rymarzy czy szewców. Na rynku roiło się od różnobarwnych chust przekupek, od kramów pięknie ozdobionych, od nawoływań:

- Tu u mnie najlepsze towary!

- Do mnie, do mnie, u mnie najtaniej!

- Ludzie, ludzie, najlepszy towar tylko u mnie!

Wszędzie panował gwar, nawoływania, targowanie.

Chłopcy przeciskali się pomiędzy kramami, oglądali targujące się kobiety, aż nagle przed ich nosem przejechała fura z całą rodziną Żydów. Na wozie było ich chyba z siedmioro, siedzieli tak stłoczeni jak śledzie holenderskie. Widać woźnica był niewprawny, bo zawadził o wystający kamień i cały wóz wywrócił się. Niefortunni pasażerowie leżeli jedni na drugich, na spodzie dzieci każde w innej pozycji, później mama przygnieciona innymi. A z takim impetem się wywrócili, że nawet krymki im pozlatywały. A co się działo później, to aż strach opisywać. Rejwach zrobił się niespodziewany, kurz się podniósł, tak że nic nie było widać, kury pouciekały z koszyków, przewrócony kram przygniół jajka, a potłuczone garnki rozsypały się po bruku. Ale największą uwagę naszych podróżników przykuła świnia, która z kwikiem zerwała się z postronka i ruszyła wprost na nich. Chłopcy nie wiedzieli, co robić - uciekać czy śmiać się. Świnia ta nie była byle jaka. To była świnia zagraniczna i tak na nich natarła, że Dominik cofając się, wpadł na Fryderyka. Ten zaś, nie mogąc utrzymać równowagi, runął wprost do kałuży.

Tego było już za wiele. Dominik, krztusząc się ze śmiechu, nie dał rady pomóc koledze. Nagle Fryderyk poczuł, jak ktoś podnosi go z ziemi i stawia na nogi. Pomimo swej tuszy był dość zwinny i silny. Tajemnicza postać sprawdziła, czy nic mu się nie stało i już chciała odchodzić, gdy nagle obok nich pojawił się pan Dziewanowski. Wielce zdziwiony całym zamieszaniem zwrócił się do mężczyzny, który pomagał chłopcom.

- Dziękuję bardzo za pomoc moim gałganom.

Frycek, gdy już doszedł do siebie, spojrzął na nieznanomego i doznał olśnienia. To był ten mężczyzna, który uratował go, gdy topił się w stawie.

- Ach, to mój tajemniczy wybawca! Pan po raz drugi ratuje mnie z opresji. Wczoraj i dziś. Dziękuję bardzo!

- To pan wyciągnął naszego Frycka z topieli? Ja jestem Juliusz Dziewanowski, a te niezdarne chłopaki to mój syn Dominik oraz jego szkolny kolega Fryderyk Chopin, który spędza u nas wakacje.

Na dźwięk nazwiska Chopin mężczyźni rozbłysły oczy tak, że zapomniał o dobrych manierach i nie przedstawił się.

- Bardzo dziękujemy – kontynuował pan Dziewanowski. – Proszę uczynić nam ten honor i przyjąć zaproszenie na kolację do dworku do Szafarni.

- Dobrze, dziękuję za zaproszenie. Z przyjemnością przybędę.

Gość przybył punktualnie i został powitany w progu przez pana Dziewanowskiego. Naprawił swój błąd i zaczął wizytę od prezentacji swojej osoby:

- Jestem Wilhelm Better. Przyjechałem z Warszawy, a pochodzę z Berlina. W Warszawie słyszałem już o talencie mojego małego znajomego, dlatego tym bardziej jestem szczęśliwy, że mogłem pomóc wybawić go z opresji.

- To my dziękujemy, a Frycek na pewno sam się odwdzięczy tym, co potrafi najlepiej – zaprasza pana po kolacji na koncert.

- Och, będzie mi bardzo miło. Tym bardziej, że sam trochę gram i chętnie zaprezentuję swoje umiejętności.

- Ale proszę nie stać w progu, zapraszamy do jadalni. Kolacja gotowa – zaprosiła do środka pani Dziewanowska.

Wieczorem, tuż po kolacji, gdy zapadł już zmierzch, zapalono świece w saloniku fortepianowym i tam przeszło całe towarzystwo. Do zwyczaju szafarskiego należało bowiem, że Fryderyk grał po kolacji dla zebranych. Tak było też i dzisiaj. Frycek zaczął grać. Pan Better był zachwycony. Głośno bił brawo. A gdy Frycek się zmęczył, sam podszedł do fortepianu i popłynęły dźwięki. Grał z wielkim zapałem i uczuciem. Panna Ludwika Dziewanowska rozmarzyła się, słuchając gry fortepianisty. Było to piękne wydarzenie. A gdy chłopcy udali się na spoczynek, jeszcze długo w nocy słyszeli dźwięki fortepianu. To pan Better grał z panną Ludwiką na cztery ręce. Nie przeszkadzało pannie, że dźwięki te nie z serca, ale bardziej z brzucha pochodziły.

- To był wielce udany dzień – ziewnął Fryderyk, leżąc już w łóżku. – Tyle się tu dzieje! Jak ja to wszystko opiszę rodzicom? Może zaprezentuję to w formie gazety, takiej podobnej do naszego „Kuriera Warszawskiego”?